

Ciąg dalszy na str. 2

Pan Jan Arcimiuk zamieszkały w Fastach nie zapomni nigdy burzy, która 12 bm. (w sobotę) po południu rozpetala się nad Białostockiem. Tego dnia widząc nadciągające chmury zaplanował wysianie na dzialek nawozów.

— „Grzmi już nad Choroszcza” — pomyślał sobie — więc póki co, wysieję saletrę amonową, deszczyk pokropi i będzie dobrze.

O SPRAWACH „BARDZO STĄD”

Ciąg dalszy ze str. 1.

— Dlatego nie udało się koncepcja federacyjna. Litwini po prostu chcieli być sobą. Mój ojciec był „bardzo stąd”, miał polsko-litewskie korzenie i to rozumiał. „Chodzi o to, że wszelkie propozycje wspólnoty z nami czynione Litwinom, oznaczają dla nich ruch wstecz na drodze do samodzielności narodowej” — pisał. Natomiast federalizm w wydaniu współczesnym — to uznanie prawa wszystkich narodów do niepodległości i połączenie swych sił przy pomocy układów — gospodarczych i innych, by powrócić do wspólnej Europy. Na tym etapie, Polacy i Litwini nie powinni się kłócić o każdą pietruszkę. Ponieważ postanowiliśmy trzymać się kogoś, kto jest dla mnie ważny, zaczęliśmy mówić o ojcu. „Uczuciem pomsty nie można kierować się w polityce”.

— Tym bardziej, że nadal wiele nas łączy. Mielimy też podobne, bolesne doświadczenia.

Od XVIII wieku, a nawet jeszcze wcześniej zbliżyli nas — o czym mówią liczne dokumenty Archiwum Wschodniego — zsyłki na Sybir. Wszędzie potężna i straszna hegemonia

rosyjska wpisała się do naszej historii ciąglem prześladowań, nieustannym cierpieniem. Dlatego ojciec przyjmował koncepcję Piłsudskiego zakładającą, że nastąpi rozczłonkowanie Rosji, która już nie będzie mogła manipulować innymi narodami.

Oto co w związku z tym pisał: „Jedną tendencją — było umocnienie Polski przez jej rozczłonkowanie; drugą tendencją — było umocnienie Polski przez federalizm”. O federalizmie już mówiłem. Chcę podkreślić, że naszym największym i wspólnym zagrożeniem jest presja wschodniego sąsiada. Z rak carów i Stalina zdobywaliśmy te same doświadczenia. Chcemy tak niewiele: żebyśmy byli narodami równymi. Bez odwiecznej hegemonii Moskwy.

— Zachowując jednakże to, co było dobre, i przede wszystkim liczne powiązania gospodarcze oraz kształtujące wewnątrz odradzającego się państwa litewskiego jak najlepsze stosunki narodowościowe.

— Proszę mi wybaczyć, że znowu odwołam się do historii. Niesłusznie oceniany na Litwie Piłsudski był przekonany, że państwo silne to takie, które ma słabszych od siebie sąsiadów. Ale to nie oznacza, że stara się nad nimi panować. Odwrotnie — szuka wspólnoty interesów. Jeżeli Polacy w Wilnie przytaczają

cały szereg prawdziwych przykładów, które są przykładami klasycznych zsyłek ze strony Litwinów, to musimy wyrosnąć z tego. Litwa walczy o swą niepodległość, dziś wielu rzeczy jeszcze nie potrafi. Szukajmy porozumienia i razem uczymy się tolerancji.

— Jak trudna i pełna poświęceń może być ta nauka, widzimy na przykładzie Polaków. To tu rozpoczęto przywracanie godności ludzkiej. Te działania znalazły ciąg dalszy na Litwie.

— „Solidarność” — pierwsza ruszyła niekorzystny układ w polskiej Europie. Kiedy przyglądam się Sajudisowi, to w jego działaniu wyodrębniam pewną pozytywną cechę, otóż Litwini chyba potrafili lepiej czekać, mają więcej cierpliwości. To czekanie jest jednocześnie rośnięciem. Mnie, jako osobie, która wiele przeżyła — syn mój siedział w więzieniu, zięć także, w ogóle u nas wszyscy siedzieli, bo to taki nasz zwyczaj polityczny — ważna jest i inna cecha Litwinów: mniejszy pośpiech w działaniu i umiejętność milczenia. Mnie w socjalizmie brali także niszczenie etosu pracy; wydaje się, że Litwini tego etosu nie stracili.

Wierze, że kraina nad Wilną i Niemnem stanie się nie tylko krajem niepodległym, lecz i madrym, który potrafi uszanować mniejszości narodowe. Rozpamiętajcie namieszczenia wokół braku mszy po polsku w katedrze czy wokół autonomii na Wileńszczyźnie, nie jest w interesie ani Polaków, ani Litwinów. Kryje się za tym stara rzymska zasada „Divide et impera”.

— Nie skąpi pani komentarzy mieszkancom swej rodzinnej ziemi. Co jednak razi i martwi tu Panią?

— Przede wszystkim wypaczenie faktów historycznych, pomniejszanie wkładu Polaków, zmienianie napisów i ich intencji. Litwini powinni zrozumieć, że Polacy są dla nich sprzymierzeńcami, sojusznikami i partnerami. I że za usługą na szacunku nie mniej się od tego, jakim darzy się Litwinów.

— Musimy też pamiętać, że żyjemy na styku wielu kultur. Ich wzajemne przenikanie się wzbogaciło dorobek nie tylko naszych narodów.

— Wielu ludzi ma tu kłopoty z określeniem swej narodowości. Historia wykazała, że cechy litewskie pięknie przeplatają się z polskimi. To granicze rozstrzygało na świecie wielu polityków i artystów. Przysporzyli oni dumy i Polseci, i Litwie.

Wierze, że kraina nad Wilną i Niemnem stanie się nie tylko krajem niepodległym, lecz i madrym, który potrafi uszanować mniejszości narodowe. Rozpamiętajcie namieszczenia wokół braku mszy po polsku w katedrze czy wokół autonomii na Wileńszczyźnie, nie jest w interesie ani Polaków, ani Litwinów. Kryje się za tym stara rzymska zasada „Divide et impera”.

— Trzyma pani w ręku książkę ojca. Czy znowu znajdziemy w niej spostrzeżenia pasujące do dnia dzisiejszego?

— Chciałabym przytoczyć fragment wzmiankujących wspomnień poświęconych Litwinom: „Gdyśmy rozbieli, pobici, opuszczali w tym koszmarnym wrześniu 1939 roku Wilno i przyjechali na Litwę, Litwini przyjęli nie tylko gościnnie, przyjęli nas całym sercem, delikatnie, troskliwe, uprzejmie, rozumiejąc nasz wstyd i upokorzenie, takownie; przyjęli nas, każdemu pocieszając słowem.

Kobiety litewskie wynosiły mleko na drogi, które cofały się żubnierze polscy, uprzejmie, delikatnie odmawiając zapłaty; karmiti, zapraszały, gościły. Niezwykła dobroć, serdeczność, czułość i rzetelność ogarnęła ich wobec nas. To jak u sąsiada, z którym się jest w niezgodzie, dom się pali i małe dzieci pogorzelca we własny dom się przyjmują”.

— Czyż to nie świadczy, że szczególnie w chwili trudnej możemy liczyć na Litwinów i odwzajemnić się im tym samym?

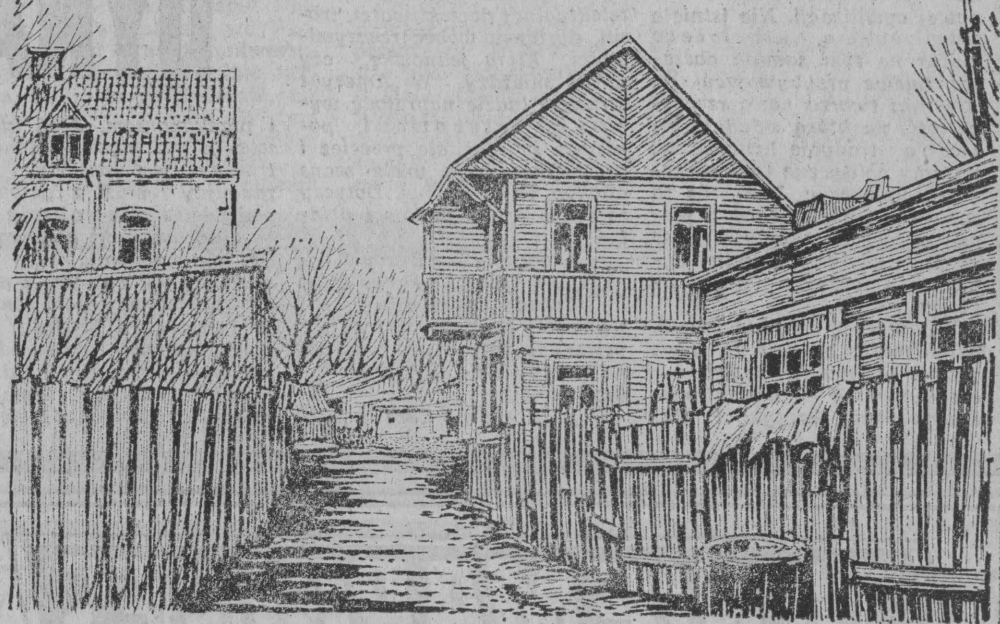
— Ma Pani wiele wspomnień. Czy nie zamierza Pani śladem ojca napisać książki?

— Planuję napisać o Wilnie jako o mieście miłości i tolerancji. Wychowana byłam w domu katolickim, w którym nie istniała żadna dyskryminacja w stosunku do moich kolegów Żydów, kolegów mahometan. Nad grobem mojego ojca Paweł Jasienica powiedział, że było to miasto wielu narodów i wielkiej tolerancji. Takim, widzę, Wilno jako stolice niepodległego państwa litewskiego.

— Dziękuję za rozmowę.

(„Znad Wilni” nr. 3)

GDZIE JEST (była) TA ULICA, KUPON GDZIE JEST (był) TEN DOM... 3



Kontynuujemy nasz konkurs, w którym nagrodą jest oryginalny rysunek artysty plastyka Jerzego Lengiewicza. Należy rozpoznać i opisać co przedstawia zamieszczony rysunek. Wycięty kupon wraz z podpisem prosimy przesyłać pod adresem redakcji. Po nadeślniku czterech kolejnych kuponów 1, 2, 3, 4 nadawca weźmie udział w losowaniu nagrody.

Czy działkowcy mogą zrobić rewolucję? Z całym przekonaniem można stwierdzić, że TAK. Wiem nawet, z których działek pierwsze falangi wyskoczą do ataku. Z tych przycupniętych pod pocarskimi Fortami w Piątnicy, pełniących m.in. rolę nader przydatnych rekwiizytów. Pierwsi starcie — mistrzowski! — mają za sobą.

Wróg się skrada

Sprokował ich do czynu nie kto inny, a wredny reprezentant kapitału, Adam Golebiowski. Chłop z apetytem, rosnącym co sekunda. Umyślił, że podbiję Łomżę i nie tylko. Ich koszt! A na deser wrabie ich salatek ze szczypiorom. Co gorsza, o mało mu się to nie powiedziało. Trafił bowiem na moment, gdy wojewoda ogłosił wszem i wobec, że zaczyna sercem wspierać ludzi z inicjatywą. Wybiegnie naprzeciw. Pomoże. I jeszcze dywan przed pupilkami ominię. A jeśli zajmą się budownictwem — z rozpedu ożłoczą.

Nie rzucił słów na wiatr. Kiedy omłdli z nadziei Golebiowski wysperzał teren, pasujący jak ulał na jego przedsięwzięcie, wszyscy zgodnie przyklasali. W październiku 1988 r. miał w ręku umowę dzierżawną placu 0,57 ha nie- użytków. Mimo że jej ważność zastrzeżono ledwie na 12-letni okres, czynsz określono stały: równowartość ośmiu kwintali żyta rocznie. I zezwolono wkrótce „na wznie- szenie niezbędnych trwałych urządzeń i budynków”. Pod jednym wszak warunkiem: jeśli umowa zostanie rozwią- zana, dobrowolnie zabierze, co

nastawiał lub przekaże nie- odpłatnie na Skarb Pań- stwa.

Inny by się zachnął na takie dictum, ten — po prostu przyjął warunki. I w kwietniu następnego roku, po od- czekaniu okresu uprawomoc- nienia się ustalen, na projek- cie zagospodarowania działki miał komplet osobistych pa- rafek: dyrektora Wydziału Pa- rafek, dyrektora Gospodarki Wodnej i Geologii — Mi- rosława Anaszkę, Wojewódz- kiego Konserwatora Zabytków — Witolda Lempi, Wojewódzkiego Inspektora Sanitar- nego — Bronisława Podolaka, Komendanta Wojewódzkiego Straży Pożarnych i kogo tyl- ko.

— To naprawdę świetny te- ren — zachwycił się nim i dziś. Przed laty była tu wy- twornia prefabrykatów Łom- żyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Potem przeszli na wielką płytę i to miejsce opuścili. Z pełnym uzbroje- niem technicznym, wodą, pra- dem, niedaleko Łomży. Toż tylko marzyć...

Urzednicy padają pokotem

Marzenie energicznego przedsiębiorcy trwało mgie- nie. Zdołał zaciągnąć kredyt, uporządkować teren, wywieźć z niego gruz, wyrównać, ku-

pić materiały budowlane, zło- żyć na kupę. I doś! Zoriento- wawszy się w jego zamia- rach działkowcy aż przysiedli. Tu, pod ich nosem, ma wy- rosnąć żonk betoniarń! Nie- dozwolone...

„Z przerażeniem obserwu- jemy — zaalarmowali natych- miast władze — roboty ziem- nian...”

ne obok naszych ogródków działkowych prowadzone przez ciężki sprzęt. (...) Przed wielu laty był tu zakład betoniar- ski LPB i dobrze pamiętamy, jak bardzo był uciążliwy dla działek i szpetny dla Fortów. Ciągły hałas maszyn wibra- cyjnych, sprzętu, ciągłe trans- porty drogą między działka- mi zatrutywały nam odpoczynek oraz uprawy i owoce, które powinny być zdrowe. Pytamy zatem władze wydające za- zezwolenia na umieszczenie ta- kich zakładów w sercu dział- tek i pięknych Fortów — czy w Łomży i okolicy nie ma miejsca odpowiedniejszego dla nich?... My na naszych dział- kach chcemy słuchać śpiewu ptaków, a kwiaty niech za- pływają pszczoły, a nie cement i pył!”

Wersjami tego pisma sza- fowali na prawo i lewo. Do Urzędu Gminy w Piątnicy, wojewody, prokuratury, sena- tora, towarzysza, Głównego Inspektora Ochrony Srodo-

wiska, szefostwa ogródkowe- go, paru ministerów, Towa- rzystwa Przyjaciół Ziemi Łom- żyńskiej, architekta wojewódz- kiego. Uderzał niemal do wszystkich świętych. Skutecz- nie. Bo ktoś nie kocha kwiat- ków i wypyrze się checi obro- ny Fortów? Nikt, nawet jeśli poparcie skończy się wyłąc- znie na słowach. Chociaż nie,

Jako pierwszy oddał Forty Wojewódzki Konserwator Za- bytków, nakazując wstrzymać prace ziemne Golebiowskiemu. Powód? Działka Go- lebiowskiego wchodziła w planie zagospodarowania przestrze- nnego pod ogródki działkowe. Tak nie wolno!

Po nim ukończył się Wy- dział Ochrony Srodowiska, pi- sząc, że „z punktu widzenia ochrony srodowiska, w tym szczególnie powietrza atmosf- erycznego lokalizacja zakładu betoniarńskiego jest możliwa”. Ale z drugiej strony, jakby stać się tak dokładnie przyrzej-

mena, działkał zgodnie z pra- wem.

Kropkę nad „i” postawił Główny Architekt, Jacek Mie- szkowski, uniemożliwiając w lipcu 1989 r. pozwolenie na budowę wydane przez gminną władzę. Powód? Działka Go- lebiowskiego wchodziła w planie zagospodarowania przestrze- nnego pod ogródki działkowe. Tak nie wolno!

Paragrofowa przepychanka

Złosiłby mogłoby nazwać ten przypadek urzędniczej amne- zji „zagubieniem w gąszczu niekompetencji”. Ale ma on chyba i inne podłoże. Mogłby stać się bogatym materiałem

źródłowym studium nt. cla- syczności naszego prawa w rękach ludzi, którzy zwykli nie boją się niezadowolona grupy liczącej ponad trzy o- soby.

Zeby teza ta nie zabrzmia- ła gołosłownie, posłużmy się przykładem. Główny archi- tekt województwa podważa

na terenie strefy ochrony kon- serwatorskiej. Trzeba obalić takie ustalenia.

— O nie — ripostują spo- kojnie radni — taki wniosek może złożyć tylko terenowy organ administracji, nie wy, a nie złożył.

Salomonowe wyjście znaj- duje Biuro WRN: — Uchwała jest ważna, ale. Jest tylko o- pinia np. projektowanych zmian, rodzaj upoważnienia dla naczelnika do podjęcia działań, mających na celu ak- tualizację planu zagospodro- wania przestrzennego „mrv. Potem wróci on znow do akceptacji GRN.

Prosty sposób na ubezwia- snowienie samorządu tery- torialnego? Jak drut!

Strzaly z nielegalnej broni

We wcześniejszej fazie pa- pierowej szermierki pojawia się i inny argument. Zawa- rta z Golebiowskim — umowa jest nieważna, ponieważ za- wierając ją władza zaniedba- ła spytać — co było jej o- bowiazkiem! — sąsiadów, co o niej sądzą... Nie zapylała!

— I co z tego? — podsu- mowuje to przebieżenie pro- kurator. — Naczelnik nie mu- siel tego robić, gdyż fortalni działkowcy nie dopełnili (przez 12 lat uprawiania ogrodów), wymogów określonych usta- wą o pracowniczach ogrodach

działkowych. Z tego wzgledu nie mogą być stroną w postę- powaniu administracyjnym.

Wyjaśnijmy dosadnie! O- gródki Działkowe „Forty!” są nielegalne. Nie to jednak, zważywszy, że „dysponujemy siłą społeczną w ilości ponad 200 osób”.

Naczelnik nie lubi marchewki?

Wygląda na to, że istotnie, ani naczelnik Tadeusz Gała- ka, ani przewodniczący GRN w Piątnicy Zenon Siudakie- wicz nie lubią ani siły, ani szpinaku. Woleliby gotówkę i przychylność lebskiego faceta, który zamiast hasła zaserwo- wałby konkrety.

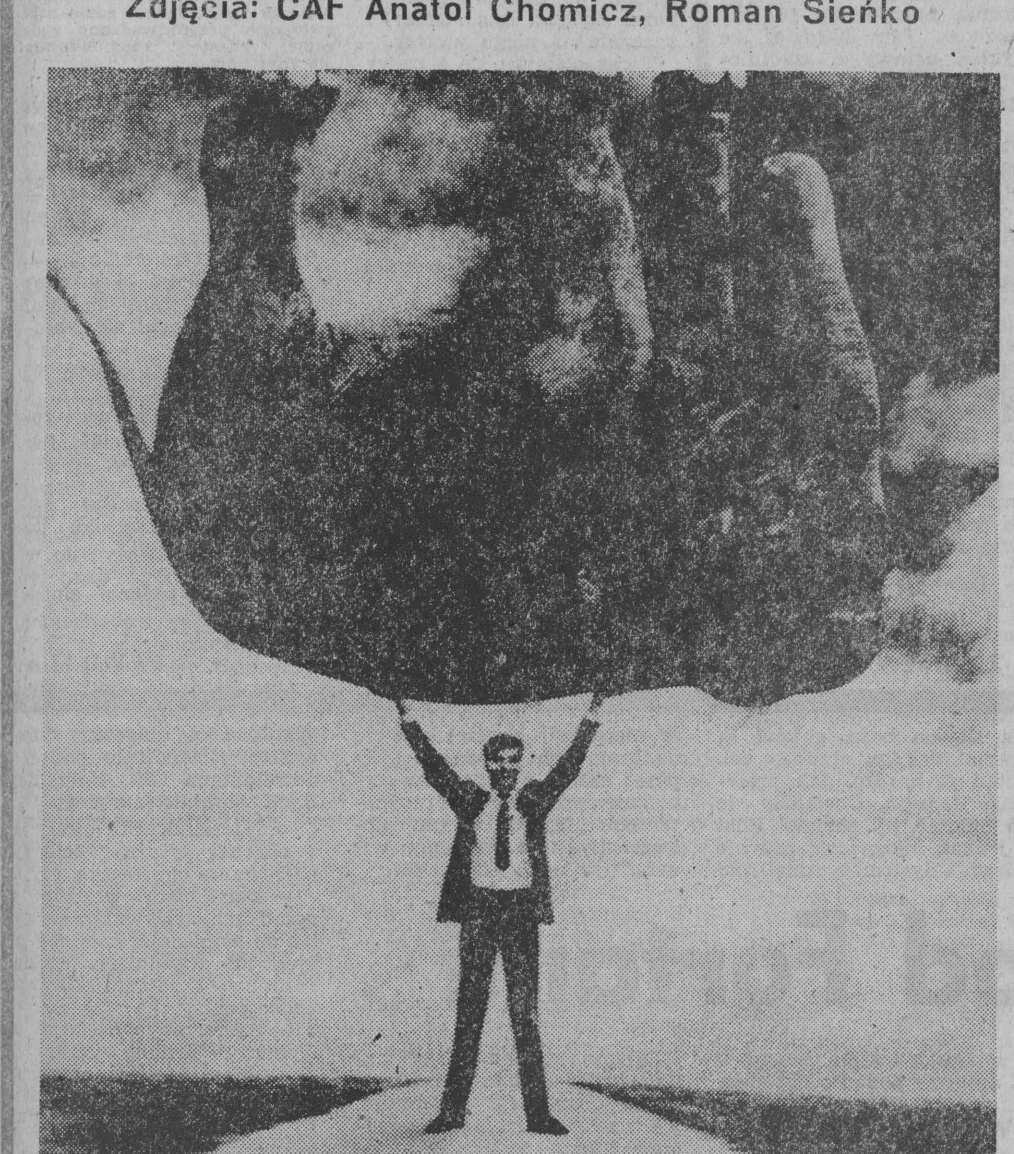
A taki budowlaniec, wia- domo, sama korześć. Już w lipcu złożył zobowiązanie przyjęcia zlecenia na budowę poczyni w Piątnicy w całości, deklarował pomoc przy innych inwestycjach, wsparcie finan- sowe. Ludzie z okolicy zy- skaliby w dodatku kilkadzie- siat miejsc pracy, co szcze- gólnie dziś jest bez zna- czenia. Poza tym, zwiększyl- by się wpływy z tytułu opłat, podatków — na dziś, o co najmniej 500 mln zł. Czy przekroczenie tej wielkości może rekompensować miejscowym władzom szpinakowy przy- smak na nie swoje miejsce?

Ciąg dalszy na str. 4

CIEŻARY PO POLSKU

Fotoreportaż z komentarem Wiesława JANICKIEGO

Zdjęcia: CAF Anatol Chomicz, Roman Sienko



Na całym świecie powszechnie znana jest prawda, że Polak każdy ciężar unieść potrafi nie wyłączając własnej recesyjnej superstagnacji. Ten młody obywatel RP daje temu przykład dosadnie zasadny.

(cd. str. 4)

KROKODYLE NA KURSIE

Rozmowa z ELŻBIETĄ KARCEWSKĄ — członkiem Zarządu Oddziału Polskiego Związku Esperantystów, specjalistą do spraw turystyki Esperantotur w Białymstoku

Tak bywa i z Anglikami, choć jest to oczywiście przeryszo- wany wizerunek owych obco- krajowców. Jeśli zajdzie taka potrzeba gotowi są zmienić się w poliglotów.

— Oni akurat nie muszą martwić się o to, że ktoś ich warunki (choćby transak- cyjne), ale co mają powiedzieć Polacy, którzy pepekim swia- ta nie będą? Czy mogą liczyć na esperanto?

— Obawiam się, że nie do- żyje czasów gdy świat pow- szecznie zagada w tym języ- ku, choć jest on zalecany przez ONZ i nieustannie re-klamowany. „Idea jest pięk- na” — powiada się powsze- chnie, a zainteresowanie — takie sobie.

— Pani jednak nie miała wątpliwości. Czyżby zadecy- dowała jakaś wizja, natchnie- nie?

— Wszystko naraz. Siedzia- łem w piaskownicy na urlo- pie wychowawcy. To dobre miejsce na natchnienia. Wresz- cie powiedziałam mężowi, że z dnia na dzień czuję się bar- dziej kuchtą i pomocą domo- w

nienia nauczyciela języka i pilota wycieczek.

— Oraz upewnienia do go- dziny zapłaty? Jako merkan- tylny sens i pożytek z zaba- wy.

— Nie wiem czy byłoby to dobry sposób reklamowy na powiększenie grona 1622 człon- ków związku (dane z końca zeszłego roku) oraz 278 wspie- rających, którzy ostatnio ze- chcieli podpisać deklarację. Po podwyżkach, atestacjach i różnych finansowych egzor- cyzmach zarabiam już 316 tys. zł.

— A na wyjazdach wielo- krotność tej sumy?

— Z takiego założenia wy- chodził zapewne naczelnny dy- rektor Esperantotur, Kalku- lacja musiała uwzględnić do- rabianie diety: jeśli pilot do- stępujący szczęścia wyjazdu z grupą ogłosił głodówkę albo będzie wcinął stale przywie- ziony z kraju „przysmak śnia- daniowy”, to mu wystarczy na prezenty dla rodziny.

— A więc pani musi wciąż sytyć się entuzjazmem. To po- trawa nlskokaloryczna...

cenną siłą urzędniczą, by ją można było stracić z oczu na kilka dni. Musi pani mieć a- nielską cierpliwość jeśli ukła- dy — przynajmniej finanso- we — w nowym miejscu pra- cy okazały się podobne.

— Pracuję solidnie tak dłu- go, jak długo wierzę w to co robię. Tym razem wiara kon- czy mi się ostatniego dnia maja. Wtedy razem z kole- gami przenoszę się do spółki „Esperanto — Servis”. Będzie- my robili to samo, tyle że za pieniądze. W biurze zostają: pani dyrektor i nasze głodo- we stawki. Chyba sobie wszy- scy poradzimy, bo podobno zdrowa konkurencja podnosi poziom usług.

— Niewątpliwie. A czasami nawet poziom cholesterolu we krwi niektórych menedżerów. Przejdźmy jednak od scho- rzeń do zdrowych usług. W gazecie fascynacji językowych najbardziej przekonują mnie argumenty wiążące przyjemne z pożytecznym. Czy w zwia- zku z tym na waszych (niebyle- drogich, a atrakcyjnych) wy-

cieczkach bywa więcej — po- wiedzmy — uczestników niż esperantystów?

— Muszę pana rozczarować i sprowadzić na ziemię: w pewnym sensie są to jedni i ci sami ludzie. Są poohadują to prawdę, ale żaden nie po- wie, że zna język esperanto tylko ze słyszenia, choćby był wyjątkowym krekeletem.

— ??

— Pierwsze informacje na granicy, gdy przejmuję nas grupę, pytają o szczegóły skła- dów. Zaczynam się od pyta- nia w naszym slangu: kogo przywołują? esperantystów czy krokodyli? Ci drudzy ma- ją niewiele wspólnego z ca- łym ruchem. Są zieloni, ale barwni nadziei, bo „espero” to w naszym języku właśnie nadzieja. Po prostu już dwa miesiące przed wyjazdem bio- rą udział w nauczaniu podsta- wowych wyrażeń i najbardziej użytecznych zwrotów. Potem wsluchują się w brzmienie języka, gdyż wykorzystujemy każdą okazję by — nawet przez telefon, w biurze, czy w podróży — oswajać się z tą nowością.

Mówienie w obcym języku wy- naga zazwyczaj pewnego prze- łamania. Człowiek początkowo czuje się skonsternowany, zagubiony, nawet przerażony i nasze zadanie polega przynajmniej na tym, by zaszczerpieć w tych ludziach mi- nimum odwagi. Wielu z nich pro- kroczenie tego progu wystarczy, by polubić i docenić esperanto. Kto wie ile powie potem tak jak ja: gdy w ubiegłym roku sły- szalam wystąpienie Japonczyka, który w Białymstoku mówił czy- stym esperanto, poczułam że mam wielkiego pod oczami! Dla tej fra- dy warto było podjąć.

To zaś stwierdzenie, że świat zaczyna się otwierać po osiągnięciu pewnego stopnia wtajemniczenia nie jest czy- stym truizmem. Proszę zwa- żyć szanse studiowania na A- kademii San Marino, do któ- rej mamy blisko, gdyż działa filia w Białymstoku. A oka- zja najtańszych z wyobraź- nych podróży po całej kuli ziemskiej z „Pasporta — Ser- vo” pod pachą? To wieloty- śliczny zestaw adresowy espe- rantystów gotowych za dar- mo przenoćować lub wyżyw- ić podróżujących, tych zjedno- czonych idea, której konkre- tny kształt nadeł przed laty Ludwik Zamenhof.

Rozmawiał: ANDRZEJ POLAKOWSKI

Aulus C. Celsus: — „Ból zęba, nie lecząc umierania, jest najstraszniejszym i najwęższym ze wszystkich bólów”

Historia cierpienia (1)

W minionych stuleciach ludzie trapieni bólem zębów wydawali byli w ręce znachorów, różnych cyrulików, pospolicich wyrywaczy zębów, a dzisiaj to do wszystkich przeważnie w czasie trwania jamarskich. Lecz kto z nas wie, że już na 1000 lat przed narodzeniem Chrystusa, Egipcjanie chwytali się zębów szynowali przy użyciu metalowych taśm, że w pierwszym stuleciu naszej ery ból umierania stosując arsen i że już w średniowieczu przetrzymywano przed zębami apetytem na słodycze, których nadmierne spożywanie wiązano z powstawaniem próchnicy, a w dalszej kolejności z piciem się zębów i dotkliwym bólem.

SREBRO ZA ZĄB

W pierwszym stuleciu po narodzinach Chrystusa, rzymski lekarz Aulus Cornelius Celsus zebrał całą ówczesną wiedzę dotyczącą leczenia zębów. Tymi wszechstronnymi wiadomościami wypełnił on osiem ksiąg. Niestety, wszystkie one na długie lata poszły w zapomnienie. Dopiero w 1425 roku zostały ponownie odkryte. To starożytne znalezisko okazało się prawdziwą kopalnią wiedzy, z którego możemy dowiedzieć się o stanie medycyny w tamtych czasach, szczególnie stomatologii.

Właśnie od tego Rzymianina Celsusa pochodzi powiedzenie, które do dnia dzisiejszego nie utraciło ze swojej aktualności i zgadzają się z nim wszyscy cierpiący: — „Ból zęba, nie lecząc umierania, jest najstraszniejszym i najwęższym ze wszystkich bólów”.
Lecz to się ludzie od prawników, poprzez świat antyczny i średniowiecze wycierpieli, zanim w 1846 roku wynaleziono znieczulenie przy użyciu eteru? Wprost nie do wyobrażenia są te wszystkie starania aby ulżyć ludzkiemu cierpieniu a jednocześnie zrobić na tym dobry interes... W

ten sposób „taryfa opłat”, jak i „błedy w sztuce lekarskiej” nie są terminami drażliwymi także współcześnie.

Już lekarze w okresie pierwszej dynastii w BABILONIE (XVIII-XVI wiek przed narodzeniem Chrystusa) wiedzieli dokładnie po co są potrzebni. Oni zarabiali wspaniale gdy tylko postawili właściwą diagnozę a ich terapia wywoływała pozytywny skutek. Ale, ale... jeśli poszło coś nie tak, musieli ponieść konsekwencje. Wtedy obowiązywał ówczesny praw. Jeśli pacjent w wyniku zastosowanego leczenia zmarł, lekarzowi obcinano rece. Jakże to było proste! Interesująca wiadomość jest wartościowa nie zębów w tamtych czasach... Wtedy zabór kosztował sprawcę „trzęcia cześć miny srebra” (157 g). Oko ludzkie — przy jego u-

tracie! — było tylko trzy razy droższe — jedna mina srebra. Nie zatem dziwne, że babiloński lekarz — mając na uwadze tak drakońskie kary — nie był zbyt skłonny do leczenia zębów. Ze zębów chirurgi nie wspinać. Na pierwszym miejscu była terapia przy użyciu lekarstw.

RECEPTY Z ASSYRII

Gliniana tabliczka znaleziona w Assyrii zawierała szesnastą recepturę, min. przeciw ruszającym się zębom nakazywano stosowanie żywicy — galbanu, do czyszczenia zębów zalecano pomieszaną miedź z alumiem; lulek i mastyks razem uarte miały być skutecznym lekarstwem przeciw „robakowi zębennemu” wówczas powszechnie uznanemu za sprawcę próchnicy.

Kiedy w 1822 r. udało się wreszcie rozszyfrować hieroglify — pismo starożytnych Egipcjan — medyczne zapiski okazały się prawdziwym skarbcem wiedzy medycznej. Na napisanych rożkami zapisano jak należy czyścić zęby: zęby zęb — przy pomocy proszku z kminu, żywicy terbinowej i oleju ogorka (odmiana dyni). Rzuśno się zęby używano były przy użyciu złotego drutu. Nie wiadomo jednak — z całą pewnością — czy taka „regulacja” zębów miała miejsce za życia pacjenta, czy też dopiero po jego śmierci. Tego nie da się dzisiaj bezpośrednio potwierdzić. Podobnie jak mumifikacja, ten zabieg mógł służyć pomocą zmarłemu w

wejściu do krainy śmierci w stanie i postaci nie naruszonej. Do takiego wniosku doszli lekarz stomatolog, HEINZ E. LASSIG i historyk, RAINER A. MULLER, w swojej pracy pod tytułem „LECZENIE ZĘBÓW W HISTORII SZUKI I KULTURZE”. Książka ta zawiera opisy leczenia zębów od prehistorii poczynając, a na czasach współczesnych kończąc.

Autoryzacji wskazują na Syryjczyka Archigenesa, jako na tego, który w 100 lat po n. Ch. — przy użyciu swidra korbowego — otworzył bolący ząb i usunął miąższ zęba. Jego kolega, Rufus z Efezu usiłował ból zęba usunąć stosując arsen. Również i dzisiaj stan zapalny miąższ zęba leczy się stosując arsen, przy okazji służy on osłabieniu bólu, zanim lekarz przystąpi do leczenia korzenia. Przykładem dla arabskich dentystów był prorok Mohammed (ok. 570-632). Jego zainteresowanie medycyną było powszechnie znane. Do pielęgnacji swoich zębów używał on preczka z drewna w kształcie pedzelka.

W czasach późniejszych do czyszczenia zębów używane były proszki sporządzone z popiołu pochodzącego z rogu jelenia, mastyksu, soli, alumu i miry. Ta mieszanina miała także wzmacniać uzębienie.

PRZEORYSKA HILDEGARDA O ZĘBACH

Często przestrzegano, szczególnie dzieci, przed słodzycami, ciepłymi i zimnymi napojami, a zwłaszcza przed orzechami — ich rozgrzaniem. Jeśli mimo przestrzegania tych wskazówek pojawiały się bóle zębów, to wówczas przyczyną np. zapalenia dziąsła i próchnicy upatrywano w „roztroju soków...”

Centrum średniowiecznej medycyny dentystycznej był słynny w całej Europie Uniwersytet w Salerno, we Włoszech. We Francji uniwersyteckie Montpellier miało także wiele do powiedzenia, ale tylko do 1239 roku. W tym właśnie roku papież zniósł egzaminu dla chirurgów... W ówczesnych Niemczech

przeoryska Klasztoru — Hildegarda von Bingen (1098—1179) zastępowała swoimi przyrodniczymi pismami z zakresu stomatologii. Odnosiła ból zęba przyjął ona ten sam punkt widzenia co Grek Arystoteles. W myśli tego rozumowania, w bezpośrednim kontakcie z zębami znajdują się małe pojemniczki, które — w sprzyjających okolicznościach — wypełniają się zepsutą krwią i szumowiną, co w efekcie powoduje straszne bóle zębów.

Co zatem należy czynić by uniknąć bólu zęba? Według przeorysky Hildegardy wyjście było jedno: człowiek musi stać się czysty zęby i płukać je wodą. Kiedy nie czyni tego regularnie wokół zębów, także przy dziąsłach, tworzy się nałot, który stale się powiększa i po pewnym czasie „zęby i dziąsła chorują”. Te słowa mogłyby być napisane współcześnie — po prostu chodzi o higienę jamy ustnej!

(cd.n.)

li. i opr. — Jag



Ten fotel z XVII wieku używany był w Anglii równo przez fryzjera, jak i przez cyrulika. Szluzowa szczeka należała do pierwszego amerykańskiego prezesa — G. Washingtona. W 1785 roku zapłacił za nią 60 dolarów

Latem ub.r. („GW” z 26 VII 1989 r. — „Rzecz mi pilkę”) upomniałem się o prawa nauczyciela Szkoły Podstawowej w Tarnowie do 25-procentowego dodatku za prowadzenie zajęć z wf-u w klasach łączonych, który został mi bezzasadnie odebrany w środku roku szkolnego 1988/89 po pięciolletnim jego poborowaniu. Otrzymałam ostrą reprymendę od Tadeusza Koziały, Inspektora oświaty w Miastkowie („GW” nr 205/89) jako osoba mało kompetentna, nie przezwyciężająca nawet, że wraz ze zmianą dyrektora szkoły zmieniając się przepis resorcie. Ponadto usłyszałam przedziwne zapewnienie: „Decyzję w tej sprawie podejmie sąd pracy — jego orzeczenie będzie dla mnie wiążące”. Od kiedy to prawnicy mieliby rozstrząsać lepiej w kwestiach oświaty od weterana, czuwającego nad prawidłowością procesu edukacyjnego w gminie?

Od postanowienia sądu pracy uzależnił też swoje stanowisko kurator Mikołaj Jednacy, choć — na żądanie wyrozkadek — do żadnej z rozpraw dojeżdżał — nie powinno było, o czym przez półtora miesiąca przekonywała go Prokuratura Rejonowa, działająca w trybie kontroli przestrzegania prawa. Ale nad rozstrząsaniem grzy zła wola (i co tu kryć: poczucie bezkarności) kuratora, która kazała stronie pozwanej — inspektorowi w Miastkowie — a także metodykowi wf-u zaprzeczyć posiadanie wiedzy i interpretować kwestię na podstawie bliżej nie sprecyzowanych przepisów. Obaj musieli znać obowiązujący stan prawny; wiedzieli także, że nauczyciel prowadzi zajęcia w grupach dziewcząt i chłopców utworzonych w wyniku połączenia (nietypowo) uczniów z klas V—VIII. Ta wiedza wystarczała przez 5 lat do wypłacania dodatku, a od 11 1989 r. — przestała, bowiem, jak napisał w liście do redakcji Inspektor Koziały: „Nowy dyrektor, biorąc pod uwagę jeden rozkład materiału, jednakowy zapis w dziennikach lekcyjnych (...) nie zaakceptował w wykazach godzin sporządzanych do wypłaty jako godzin w klasach łączonych”. Na dokładkie inspektor zapewnił, że jest to „stanowisko zgodne z zarządzeniem Ministra Oświaty i Wychowania”. Rewolucyjna odkrywczość tarnowskiego dyrektora sprawiła, iż: „Zaden z nauczycieli kultury fizycznej w gminie takiego dodatku nie otrzymuje”.

Wiedzę o stanie prawnym i faktycznym można podbudować autopsją, czyli obecnością na lekcji. Ale przecież inspektor jest specjalistą od spraw technicznych, której nauczyciel w ramach 1/2 etatu w miastkowskiej szkole, zaś metodyk nie otrzymał od kuratora polecenia: hospitować, lecz zażądać do dzienników, a potem zeznać, że faktycznie figuruje tam tylko jeden temat.

W pięć miesięcy po odebraniu dodatku hospitował lekcje wf-u w Tarnowie dyrektor szkoły, ale choć stwierdził, że nauczyciel dostosowuje ćwiczenia do możliwości fizycznych dzieci z poszczególnych klas, dodatku nie przy-

wolnił, bowiem wcześniej publicznie sobie obiecał: „Dopóki ja w tej szkole będę...”. Swoje spostrzeżenia popoptycznie powtórzył nawet przed Sądem Pracy w Łomży, ale nie znalazł one zainteresowania, podobnie jak cały materiał dowodowy, zresztą się w urzędniczym wyroku oddalającego powództwo. Sąd dał się uwieść przedziwnym ekwilibrystce słownej, która następnie znalazła się w urzędniczym wyroku oddalającego powództwo. Sąd dał się uwieść przedziwnym ekwilibrystce słownej, która następnie znalazła się w urzędniczym wyroku oddalającego powództwo. Sąd dał się uwieść przedziwnym ekwilibrystce słownej, która następnie znalazła się w urzędniczym wyroku oddalającego powództwo.

Warunki pracy zgodnie z zarządzeniem ministra oświaty i wychowania z 31 VII 1982 r. Jednakże „Ministerstwo nie może żądać ostatecznego stanowiska w sprawie wyznaczonego bez względu na uzasadnienie wyroku oddalającego powództwo”. Kiedy już owe uzasadnienie otrzymało — popadło w zadumę prawną i dotyczyła w niej trwał. Ale najważniejsze jest to, że jednoznacznie zapoinowało sprawę.

Tymczasem nieustępliwość prokuratury rejonowej zawiodła go z wnioskiem rewizyjnym do Prokuratury Generalnej, nie bez wątpliwości, czy zechce tak perwersyjnie kwestii poświęcić trochę uwagi. Widocznie zjawisko przywrócenia nauczycieli, a przede wszystkim przykładu rażącego naruszenia prawa przez Sąd Pracy w Łomży i Białymostku okazały się godne rewizji nadzwyczajnej, skoro do rozprawy doszło w kwietniu br.

„Przed wszystkim należy podnieść — napisał w uzasadnieniu wniosku zastępca prokuratury generalnego, Wiesław Sliwa — że przyjęta przez Sądy obu instancji argumentacja, iż identyczny zapis w dziennikach lekcyjnych różnych klas w związku z prowadzonymi w połączonych klasach zajęciami z kultury fizycznej, jest wystarczającą przesłanką do odmówienia prowadzącemu te zajęcia powódzowi Cezaremu Kamińskiemu prawa do dodatku za trudnych warunkach, wydaje się być nieporozumieniem”. Również nieporozumieniem było oparcie się Sądu I instancji na „dowolnej wykładni wyrywkowej przepisów regulujących problematykę dodatków do wynagradzania za

PAJĘCZYNA (6)

Przypomnijmy. Człowiek podpuszczający się pseudonimem „Ben” był agentem kilku sieci wywiadowczych. Po ucieczce do RFN służył w kompaniach wartowniczych amerykańskiej i brytyjskiej, nawiązując tam pierwsze kontakty z szpiegami specjalnymi NATO. A wszystko zaczęło się jeszcze w 1945 roku, gdy jako żołnierz zdemobilizowany, na Polanie w Łikwidacji Wehrmachtu. W latach sześćdziesiątych pływał na wielu statkach bandery polskiej, zaś w 1963 roku został zdeklasowany przez polską wywiad na terytorium jednego z państw zachodnich. Od siedział 6 lat w niemieckich więzieniach. Obecnie mieszka w Białymostku.

Z niewiadomych mi przyczyn Rogers odwołał planowany przelot do Polski, mówiąc, że mam o czekiwać na dalsze dyspozycje.

— Gdzie? — spytał nieśmiało.

— To wyłącznie pańska sprawa. Znajdując się w odpowiednim czasie i na terenie Niemiec, i w Anglii, i w Polsce, i w ZSRR. Wszędzie.

— Nie wiem czy dobrze rozumiałem, panie pułkowniku, ale sugeruję mi pan wyjazd do Polski na własną rękę. Czy tak?

Ja niczego nie sugeruję, Ben, ale pański sposób myślenia jest zupełnie prawidłowy. Widzę, że nauka nie poszła w las.

Opuszczając dom państwa „F” w Jügesheim, miałem przy sobie kilkadziesiąt marek. Potem wróciłem do kraju na własny rachunek. Za wszelką cenę, wyłączając, oczywiście, te najwęższe, cenne życia.

Przez kilka dni wczynałem się po Frankfurcie spijając przeważnie w parku. Z dworca kolejowego byłem bowiem dwukrotnie wyrzucany, chociaż pokazywałem policjantom stosowny papier z amerykańskiej kompanii wartowniczej.

Dość tej zabawy — powiedziałem sobie budząc się o świcie na parkowej ławce. Żeby dzwonić, z zimna, jak białostocki zakrystian na Boże Cio, a kawalek kiełbasy, który pozostawiłem na śniadanie w papierze, pod ławką, stał się zapewne łupem psa lub innego polującego nocą zwierzęcia.

Ide dzisiaj do ruskich — zdecydowałem. O ile Rogers wczelnie! mnie nie zlikwiduje. A może nie jestem już obserwowany? Może nie jest im potrzebna moja „antyrządnicza” gra? O nie. Gdyby wiedzieli, te skurwysyny, o mo-

i NRD, do małej miejscowości turystycznej w górach Harz. Wszędzie pełno wojska. Nie znalazłem kontaktu do przetrzału przez „zieloną” granicę. Jednocześnie kończyły się pieniądze. Wówczas pomyślałem sobie: a gdyby tak do kraju przez Francję?

Wiedziałem, że w Ludwigs-hafen, nad Renem, na poludniu Niemiec, można zaciągnąć się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Warto spróbować. Pojechałem.

Pierwszą noc spędziłem w Mannheim, na cmentarzu. Nikt mnie przynajmniej nie budził, a zwłaszcza dziećmi, była tak silna, że całe dotychczasowe swoje życie postawiłem na jedną kartę.

Zachowując maksimum bezpieczeństwa, dotarłem do bramy. Wartownik czuwający w biurze przepustek odmówił, początkowo, kontaktu z jakąkolwiek osobą. Widząc jednak, że dobrze mówię po rosyjsku, zadzwonił do swego zwierzchnika.

— Czego chcesz?

— Chciałbym wstąpić do Legii Francuskiej.

— Złodziejski?

— Nie.

— To kogo zabiłeś?

— Nikogo. Nazwywałem się...

— Zamknij się! — wrzasnął na całe gardło. Nas nie obchodzi jak się nazywasz i z jakiego pochodzisz kraju. Chcemy wiedzieć jedynie co ty zrobił.

Nikogo nie zabiłem, kurwa, wazna mać — zawymam po polsku — niczego nie ukradłem i nie przetrzebowałem siłą żadnej baby. Te przez moją żonę szedł Napoleon na Rosję w 1812 roku, a mój pradziadek w pas się kłaniał przed Francuzami. Jestem uchodźcą z Polski. Teraz rozumiesz? Z Polski!

Obaj żołnierze jakby otrzęśli. Poczekali mnie głusząc i lampką czerwonego wina. Otrzymałem skierowanie do Landau, gdzie lokalizowane były francuskie koszary. Tam właśnie odbywało się wstępne przesłuchanie i komisja lekarska. Inna jednakże była to rozmowa. Bez agentów. Zwykle, żołnierska pogaduszka.

Niestety, nie zostałem żołnierzem LC walczącym w Indochinach. Wiodącym byłym dla nich zbyt świeżym materiałem. Zresztą, i ja, po wstępnej rozmowie nie miałem wielkiej ochoty na wachanie azjatyckich krwli.

Mając bezpłatny bilet z jednostki francuskiej, przyjechałem do Hamburga, aby tam szukać możliwości zaiblowania się na jakimś jadącym do Polski statku. Bez skutku. Podobnie było w Lubecie. Nie ma innego wyjścia, pomyśla-

łem, jak tylko zgłosić się do brytyjskiej kompanii wartowniczej i tam zrobić trochę pieniędzy na powrót do kraju. I tak też zrobiłem przyjeżdżając do Sengwarten, nad Mozerem Północnym. Zatailem, oczywiście, fakt pobytu w amerykańskiej kompanii wartowniczej i moje powiązania z wywiadem.

Przyjeźli. Początkowo do prac porządkowych, później do mesy podoficerskiej na kelenar. Taką obowiązkową kwalifikacją przed podstawowym szkoleniem. I tam była zbieżność z całą Europą. Jednostką dowodził generał niemiecki z Wehrmachtu, oficjeralnie brytyjski, zaś podoficerami byli wyłącznie Jugosłowianie.

Rano i wieczorem odbywały się apele. Pamiętam taką jedną odprawę na placu alajumowym. W momencie, gdy brytyjski udeżył w twarz Czechy, Czech nie oddał, ale uniósł się honorem i przy wszystkich zaczął się rozbić. Zrzucił z siebie mundur i zaczął tylko w słuch odziedził w stronę bramy wyjściowej. Tam za-

trzymali go żołnierze i zaprowadzili na 1 piętro, do dowódcy. Nie dał za wybraną. Wywał się i wyskoczył przez okno. Trochę się polamał, a po tygodniu ślad po nim zupełnie zniknął. Nie wytrzymał dłużej w Sengwarten, jednostkę nazywaną przez nas „Bil-racka nora”.

Codziennie była wyczerpująca musztrowa. Ciężawostka była nieznana w WP komenda „Półbaczność” — przygotowywała do „Baczność” po „Spocznij”. Mieszkaliśmy w koszarach murowanych, ale żarcie było bardzo słabe. Mówiono, że królówka brytyjska jest biedna i nie może nam zapewnić luksusowej wyżywki. Kalorie uzupełniał się więc piwem, albo gorzałką. A i wypić mógł wtedy człowiek solidnie pół litra na lew przy gołębni. Potem na służbę? Nie. Prosto do paki.

Po przeszkoleniu otrzymałem rajdmarkera (najniższy stopień funkcyjny) i nosilem mundur z naszywką na lewym przedramieniu „WS” (Straż ochronna). Do dzisiaj pozostała mi ta pamiątka, maly czerwony prostokąt z niebieskimi literami. Również na berecie był ten sam znak, tyle że mojszy.

Z Sengwarten wysłałem list do kraju, na skrzynek kontaktową, prosząc o jakieś dyrektywy. Odpowiedź przyszła, ale w momencie, gdy byłem już w trakcie zwolnienia. Musiałem zrobić ten krok, gdyż w innym przypadku musiałbym jechać na placówkę. Najważniejsze, że uciałem trochę pieniędzy. A więc w drodze do opuszczonego nielegalnie kraju. Tym razem — przez obóz dla uchodźców z Niemiec Wschodnich. O tym jednak za tydzień.

„BEN”
(opr. pik)

...choć rodak to świnia

Cały zespół budynków przejścia granicznego w Mostiskach w porównaniu z barackiem po stronie polskiej, sprawia imponujące wrażenie, ale wiadomo, tutaj władza a Ona musi być odpowiednio reprezentowana. Zaczynają się radzieckie porządki: samochody ustawione w pięć rzędów a kanały do odprowadzania ściek. Całości dopełnia zakaz opuszczania samochodów, co przy przeciągającej się ceremonii celnej, oraz sporej ilości dzieciarni w samochodach, której nie sposób wytłumaczyć żeby odłożyły potrzeby fizjologiczne na później, potęguje wrażenie iż wszystko jest tu robione tak, aby jak najbardziej uatrakcyjnić nam wizytę w ZSRR. Swój katusze przeżywa „nad wiek rozgarnięty” obywatel stolicy. Kontrola sanitarna w osobie tegiej panielki z pekatką teczką, zakwestionowała temuż osobnikowi cztery kilo dorodnego węgiora, i uważa iż najbardziej odpowiednim miejscem do utylizacji towaru jest jej torba. Jednak, ludzi jest zbyt dużo i król naszych zębów lądję w końcu w wiadrze z chlorowanym wapnem. Warszawianka ma lzy w oczach, a już całkowicie dobija go uwaga, która pada z samochodu obok: — Dalszy palanice jeden, po kawalku na każdy samochód i z głowy, a nie tak do wiadra.

Wreszcie stajemy na kanale. Odnosimy wrażenie, że

Istnieją też inne sposoby. Otóż we Lwowie można za drobna opłatą, specjalnym piynem oczyścić deklarację ze zębnych zapisków. Ma to jedna pewna niedogodność — potem przez cały czas podróży trzeba trzymać tego skłunka za oknem bo śmierdzi jak cholera. Wygodnie jest kupić nowitką opieczętowaną deklarację in blanco.

Celnik traktuje nas wyjątkowo łagodnie. Do jego kieszeni trafia paczka dobrych papierosów, pakę do spodni i okulary przeciwsłoneczne. Bagaże do samochodu, bo pogranicznik próbuje przez radiotelefon powiadomić żołnierza podnoszącego szlaban, że taki to taki samochód może opuścić przejście graniczne. Po kilku nieudanych próbach wychyla się on przez okienko i gromkim głosem krzyczy: — Safonow, Safonow!!!

Na te wezwania wychodzi z budki rozszepany soldat. Po kilku przemiotkach, które w sposób niewybredny określają profesję jego matki, zostaje poinstruowany: — Tyle razy ci mówiłem jak śpisz to właczaj radiotelefon! Przypomni na się w tym momencie anegdota o polskich strażakach.

Dwóch adeptów sztuki polarniczej na ćwiczeniach sprawdzają łączność. Widzisz

mnie! Widział A słyszysz? Nie a nie! Ech Słowianie, Słowianie!

Wjeżdżamy do miasteczka. Po lewej stronie koszary i szkoła pograniczników. Na obrzynie plan-szy wymalowana dziwnie znajoma postać groźną palcem. Podpisane F. Dzierżyński. Ciężkie komu on tak wyraża. Po chwili zastanowienia dochodzimy do wniosku, że nam i zgodnie orzekamy, że świnia choć przecięt rodak. Parkingi przy szosie sprawiają koszmarnie wrażenie. Porozrucane opakowania, butelki, resztki jedzenia, i cozt jeden wie co jeszcze. W podróźnie krzaki też lepiej nie wchodzić, jeśli ktoś nie ma dostatecznie opianowanego odruchu. Wymiotniesz. Można by się zastanawiać nad kulturą naszych rodaków — bo to przecie ich robota — ale na parkingach nie uświadczyć ani jednego kosza, a trafia się, że śmieci zostawione jednego roku znajdują się w następnym. Ubikacji nie uświadczyć żadnej, a te w miasteczku, swoim komfortem nie przewyższają zabawy w kucanie go berka po krzakach.

Ala oto jesteśmy w Gorodku. Polacy przejeżdżający przez te miejsce albo jeszcze albo już nie mają pieniędzy. Trzeba więc próbować, może się coś trafi. Skie-

py wymiecione — okazuje się, że takich cwaniaków było już tutaj więcej.

Przed Lwowem obowiązkowy postój w „Zaprawocznój”. Po pierwsze benzyny do oporu.

Z tą benzyną to też czysta komedia. W jednej stacji sprzedają na talony, które kupuje się w budce obok, w drugiej za gotówkę. Kiedyś zdarzył się nam numer, kiedy to dziadek oświadczył, że bezina pa taloncykam nie tu, za dzinuszki toż, est tylko za hareku. Tak to kupiliśmy 30 litrów benzyny za butelkę wódki. Rachunek prosty, wódka 1040 kop. benzyna 12 rb. Róbta tak dalej.

Stacja benzynowa przed Lwowem słynie z doskonałej solanki, na którą zjeżdżają się kierowcy z całego miasta. Podawana w glinianych miskach, które cały czas trzymane są w piecu, jest tak gorąca, że aż parzy. Spożywana zaś z pierożkami i zimnym piwem stanowi istny raj dla podniebienia. Po takim posiłku wstępują w nas nowe siły, niepokoi jedynie fakt — przejechanych 100 kilometrów i żadnej zadymy z milicją, ale co się odwieczie to nie uciecze. Wjeżdżamy do pięknego onegdaj Lwowa. (cd.n.)

PRZEMYSŁAW MYTIK



Nasza rodzina technika szturmem wdarła się także w dziedzinę dźwigania ciężarów. Na zdjęciu ćwierćautomatyczny półprzenośnik mokrzej a więc ciężkiej bielizny.

(cd. str. 6)

RADY • PORADY • SZARADY

diennia.

diennia.

Z PIĄTKU na piątek

Normalna recesja

Rozmowa z CZESKIM TARASEWICZEM, mieszkańcem okolic ulicy Miłkowej w Białymstoku.

— Co tam słychać, panie Czesiu?

— Po staremu mówione, zależy gdzie ucho przystawiać. Sprzedu całkiem cicho, ale jak tylko trochę z boku, to zerez nie zabardzo.

— Jakis tajemniczy pan dzisiaj?

— Nizadnej tajemnicy nie mam. Jak widzę na co patrzy, wesoło się dla mnie robi. Nu ale nie dej Boże głębiej się poprzyglądać, albo posłuchać jak inne patrzy, co bliżej stojo patrzonej sprawy! Weśmy na ten przykład dajmy na to nasz handel. Skończyli się czasy, że klejont po prośbie do sklepu zachodził, pinionde w łapie wtykał sklepownem, żep dla jego kalisony spod lady sprzedali. Teraz wszy-

— mówi Grzegorz do mnie

— Maj sie dla was jednym świętem zaczął. Słyszał ja, że fabryki cały tydzień stojeli mało czynne, albo wcale zamknięte nawet. Kryzys w świecie nie widziany, bieda aż trzaska, a miastowe świętują, toż to czyste wariatwo! Powiedz ty dla mnie Czesiek, co by to było, żep ja zamiast żyta zaczął świętować? Jad by ty dzisiaj te moje kaszanki?

— Nie jad by — przyznał ja racje dla niego. — Ale ty pracujesz, bo tobie warto. Jaż za kilo kartofli tydzień temu trzysta pindziesionit złotych w budzie płacił.

— Ile?! — tak sie Grzegorz wkurzył na to niebywale, że aż dla niego typa zaczęła skakać. — W sku-



skiego dostatek, nieprawdaz? No i jak ja na to patrze, dusza dla mnie rośnie, normalna sprawa. Ale znowuś jak posłucham co w telewizji gadają! Podobnie o jedne trzecie produkcja sie zmniejszyla! Chyba trzeba plakać?

— Recesja, panie Czesiu. Normalna sprawa.

— Normalna, powiada? Ja człowiek mało uczony, wszystkich cztery klasy skończył podstawowe, ale z to normalnością coś dla mnie nie pasuje. Kanaszów mam w szafie starych kilka pary, na bosaka jakiś czas nie bende latał absolutnie. I portki so do przykrycia zadka u mnie, kilka lat wytrzymał, a jak nawet co penknie, Lilka weźmie i polata. Ale niech powie co z jedzeniem, recesja bendziem na śniadanie wpiere... tego... znaczy wchromalać?

— Jedzenia póki co nie braknie.

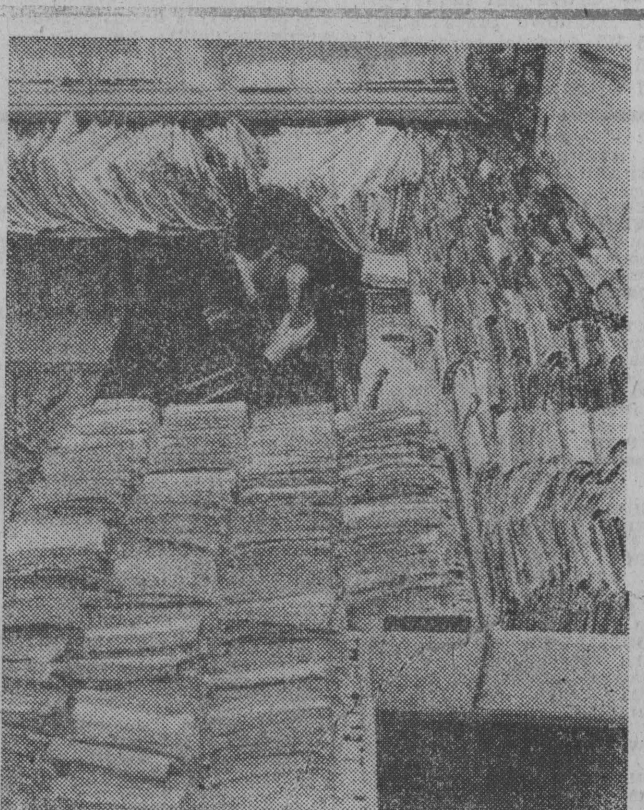
— Póki co. Otóż to właśnie. W niedziele pojechali my z Lilko do krewniaków na wieś, za Supraśl. Nogi chciały ja pomoczyć w strumieniu, kwiatków powonchać, ale wyszło inaczej. Jeszcze my dobrze nie przyjechali, a już Grześ do stołu poprosił siadać. Jak raz w tygodniu swiniaka bił, no to podgardle sie znalazło z cybulko podsmażane, swojska kaszanka, kiełbasa palcowa... dawno ja już nie jad takich przysmaków. Podjedli my, flaszke rozpiłi i jak normalne Polaki zaraz dawaj o życiu rozmawiać: — Wy tam musi w miastie powariowali

— To rzeczywiście skandal.

— I ja tak myślę. Żyd przed wojno pięć grosze miał na kilo śledziów szmalców, co oni prawie złotówkę kosztowali. I dla niego wystarczyło A teraz... eee, szkoda nawet gadać. Jeden drugiego ze skóry chciałby obłupić i nie wiedzo durni, że przeciw sobie same działają. Grzegorz wlosno nawet pół tego co zawsze kartofli nie posadził. — A na cholere dla mnie — mówi. — Żep na mojej krawicy jakś miastowe szwancy fortune zbijał? Poczekajcie wy do jesieni, bendziecie bulwy z Ameryki sprowadzać, albo z innej Australii. I masio, i mienso też tak samo.

— Mięso też?

— A jak! Parka świniaków szeszet tysięcy kosztuje, albo i lepiej. Oplacalność hodowli podobnie nie było, maciory po wszech wtyłki i temu warchlaki silnie poszli w cene. Chłop ołówce bierze do renki, podlica i wychodzi dla niego, że kilo rombanki trzydzieścia tysięcy najniższej ma kosztować. Kto tyle zapłaci? Miastowe recesja sobie za fundowali i piniendzy nie majo. Chora sprawa!



...ale największy ciężar niesie ze sobą nasza polska odpowiedzialność urzędnicza. Koniec.



NA GÓRZE PERELKA NA DOLE MUSZELKA...

Ludzie rymy plsza

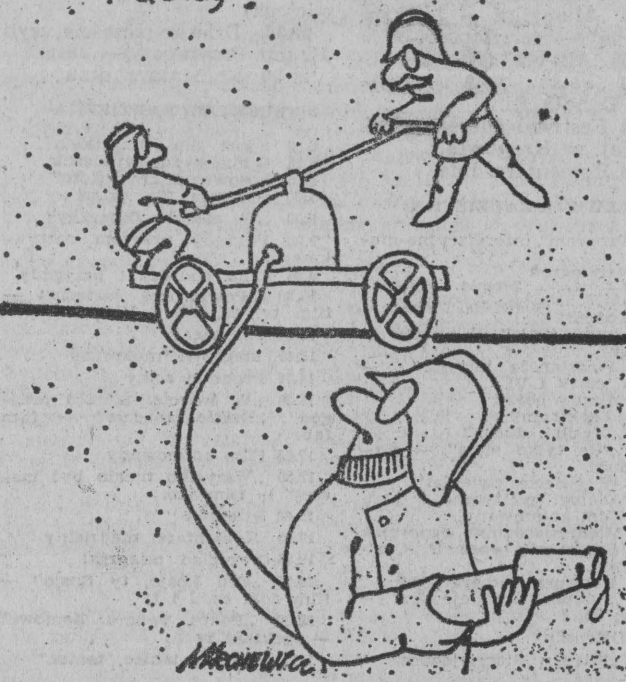
PLAN ROZBIORU POLSKI

Hitler i Stalin dwóch państw wodzowie Z dawniejszych czasów Polscy wrogowie Po ściśle tajnej wspólnej naradzie Postanowili w swoim układzie.

Podzielić Polskę na dwie połowy. Mieli do tego już plan gotowy. Z zachodu Niemcy napadną zbrojnie. A wschódowi wezmą spokojnie. Gdy cała Polska wojskowa siła Będzie od Niemców Polskę bronila, Stalin od wschodu swą armię wysle I plan napadu wykona ściśle.

Złączone rusko-niemieckie siły, Do zagarnięcia Polski dążyć, Naród będziemy likwidowali.

— CHŁOPAKI, CZY TO TAKIE WAZNE KTO BĘDZIE GÓRA?



WAYDYKAMENTY

Z okna pociągu do suwerenności najlepiej widać, jaka jest nasza niepodległość.

Fizjonomiczny pat: twarze bez wyrazu kształtują oblicze narodu.

Niejedn! mają serce po tej stronie, po której kazano mu być.

Specyficzny rodzaj nekrofili: darzenie miłością trupa politycznego.

pozytywny dewiant: normalny wariat.

Zemsta białych bogów: czerwoni zrobieni na szaro.

Największą wyrwę w osobowości człowieka stanowi nieraz jego własna mentalność.

ZBIGNIEW WAYDYK

Przeczytałem w tej rubryce o tym, jak to do fabryki miał przyjechać Edward Gierk i wówczas zrodził się pomysł pomalowania jesiennej trawy na zielono. My naszej wody nie farbowaliśmy, ale do nas wódz przyjechał i to zdaje się w tym samym czasie.

W latach osiemdziesiątych po ukończeniu studiów w Olsztynie, pracowałem w charakterze ichtiologa w jednym z gospodarstw rybackich. Moja praca polegała głównie na ciągłym wykłócaniu się z dyrektorem, który podległ sobie jeziora traktował jak przyswójne bezdno. Nawiasem mówiąc miał on narzucone z góry plany wielkości odłowu prowadzące do totalnego wyczerpania akwenu w tempie przyspieszonym. Na wszystkie moje sugestie, że zanim ryba się złapie, najpierw trzeba ją odchowić, rozkładał ręce: — Siła wyższa! mówił. I dyskusja była skończona.

Bodaj w czwartym czy piątym roku mojej pracy w wodzie pozostały już same tylko najsprytniejsze egzemplarze leszczy, płoci i linów,

BUDOWALIM

kóre nauczyły się omijać z daleka nasze pułapki. I wówczas nadeszła rewelacyjna wiadomość — po województwie będzie podróżował Edward Gierk i zjedzie też do naszego PGR-ybu.

W odróżnieniu od kolegów z fabryki, u nas nie było żadnych narad ani operatywek. Od samego początku wiedzieliśmy jedno — nasze sieci mają być pełne, a w dodatku musimy je wyciągnąć z wody na oczach dostojnego gościa. Jest rzeczka całkowicie zrozumią, że to zadanie można było wykonać w jeden tylko sposób. Musieliśmy skądś wytrzasnąć odpowiednią ilość ryb, a następnie umieścić je w siatce.

Pierwsza część zadania wca-

le nie była łatwa do spełnienia. Jeziora sąsiadujących z nami PGR-ów były mniej więcej w takim samym stanie jak i nasze. Zatem na kilka dni przed terminem wizyty wyruszyliśmy dwoma nyskami na rybackie poszukiwania. Trwało to dosyć dłu-

go, ale udało się w końcu zgromadzić coś około dwustu kilogramów ryb, które następnie powędrowały do piwnicy — lodowni.

Wieczorem w przeddzień wizyty, dyrektor zapowiedział rybaków do „no właśnie. Trzeba było włożyć miny tych ludzi, do brzych - fachowców w swojej branży, kiedy po raz pierwszy w życiu zamiast wyjmować ryby z sieci, musieli je

tam wkładać. Zresztą wkładanie nie jest słowem właściwym. Nie wdając się w szczegóły techniczne powiedzieć trzeba, że każda sieć chwytająca składa się z dwóch warstw „oczek” różnej wielkości. Ryba uderzając głową w przeszkodę wpłata się w te oka w bardzo charakterystyczny sposób, trzeba więc było „włożyć” je tak, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości, że one same tam trafiły, bez naszej pomocy. Przy okazji zrodziła się także obawa Inna. Ryby były różne również i takich gatunków które nie występują razem ze sobą. Co będzie, jeśli w ekipie towarzyszącej Gierkow, przypadkiem znajdzie się jakiś fachowiec? (...)

Te i inne obawy okazały się w końcu ponne. Wizyta głowy partii wypadła wręcz doskonale. Towarzysz Edward na własne oko mógł zobaczyć wysiłek polskich rybaków śródoludowych uwieczniony sukcesem. A ryby (już po wizycie i usunięciu ich z sieci) trzeba było zakopać pod lasem. Śmierdziały.

ICHTIOLOG



Mniej więcej autentyczne

◀ Samorządowa kampania wyborcza zaowocowała powstaniem nowych partii politycznych. W Zielonej Górze powołano do życia organizację o zaszyfrowanej nazwie: Starówkowy Konglomerat Optymistów „Osma Siła”.

Spróbujmy rozwiązać szryf. Osmka składa się z dwóch zer. Pewnikiem idzie o budowę „sławojek”.

— — —

◀ Pan Andrzej Roman napisał list do „Rzeczypospolitej” w którym uznał za skandal występ w telewizji profesora Jarosława Maciszewskiego. Dlaczego więc re- dakcja „Wiadomości” dopuściła nomenklaturowego naukowca przed kamerą? I tu pan Roman uzasadnia. „Obecność pana J. Maciszewskiego w „Wiadomościach” nie obciąża kierownictwa tego programu. Wizyta p.J. Maciszewskiego zorganizowana została przez pracowników tv z tzw. „starego portfela”.

Czyli wyszło na to, że winni są, jak zawsze masoni, cykliści i... stary portfel.

— — —

◀ Organizacja Związkowa Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej w Kaliszu zaapelowała o zmianę daty święta funkcjonariuszy i pracowników więziennictwa. Zamiast 4 października, zaproponowano 8 lutego. W tym dniu bowiem 1919 r. Józef Piłsudski wydał dekret o organizacji więziennictwa.

A co na to organizacja związkowa zapudlowanych?

— — —

◀ Prasa podaje, że większość kapieli nad Zatoką Gdańską i Pucką nie będzie w tym roku dostępna ze względu na sanitarno-zdrowotnych. W zeszłym roku podobnym komunikacie jakiś zdesperowany wczasowicz w Sobieszewie, na tablicach

z hasłami: Bałtyk twoje morze. Fladra twoja ryba. dopisał: k... twoja mać.

W tym roku bez komentarza?

— — —

◀ Beata z Białegostoku zwróciła się do „Przekroju” z zapytaniem: dlaczego chłopcy całując dziewczęta zamykają oczy? „Przekrój” odpisał: prosimy nam przesłać swoje zdjęcie, może wówczas odpowiemy.

— — —

◀ Maciej Howiecki — szef Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich — w wywiadzie udzielonym dla Interpresu stwierdził m.in. „...nie ma u nas pism niezależnych (...), takich, jak np. „Le Monde” czy „Newswiek”, nie związanych z konkretnym dysponentem politycznym, żadną partią. I nie zanosi się na to, aby miały powstać”. Tymczasem wiele tytułów nalogowo i niezmiennie zamieszcza w swojej winiecie przymiotnik „niezależny”.

Kiedy ja mówię, że jestem niezależny to znaczy, że... mówię.

— — —

◀ Na tegorocznym Festiwalu Piosenki Zolnierskiej w Kołobrzegu — informuje „Polityka” — wystąpi gościnnie śpiewająca pododdział armii amerykańskiej „Pierwsza Brygada” w stylu country?

— — —

◀ Na wiejskiej zabawie w Trzęsiance (gmina Narzew) wywiał się pomiędzy tańczącą parą następujący dialog:

Ona: — Gienek, wyjm butelkę z kieszeni, bo przeskakada w tańcu.

On: — Toż to nie butelka, toż nie wiesz co to?

◀ Hasło tygodnia: Seks najlepszy na zmarszczki.

UPRZEJMIEM PROSZĘ...

Fragmenty listów, które poniżej drukujemy są autentyczne. Listy te powstały w łomżyńskich Biurach Pisania Podania. Zmieniliśmy tylko występujące w tekstach nazwiska i niektóre nazwy miejscowości.

„Do Redakcji Gazety „Współczesnej” Oddział w Łomży.

Jestem inwalido z wojennego szlaku, któren do tej pory był niekochany, bo od Andersa. Ja bym bardzo chciał się dowiedzieć na jakiej zasadzie i ile trzeba dać żeby się wypisać ze Zbrowia, bo już ludzie sie ze mnie śmieją na czele z Rodzino, że ja Ubek jestem i zwolennik generała Jaruzelskiego, choć szacunek mam to nie chce już należeć a mieć święty spokój, to i książkę przedzej wypowiadam (...)

Stanisław Ogorzelski, Skłody.

„Polskie Radio i Telewizja Oddział w Łomży

(...) Funkcjonariusze MO jak z Turośli tak i Kolna niewiastwie do mnie postępują i ciągle mnie przesładowują jak za czasów „stalinowskich”. W przeszłości byłem przesładowanym w „stosunkach politycznych” przez UB-SB w Kolnie, potem mieli mnie ciągle na „Oku”, a w końcu muszę wyjaśnić, że w dniu (...) i (...) działając wspólnie i w porozumieniu z funk. MO w Turośli dokonali napadu na mnie pobijając mnie do nieprzytomności, zabrali w celu przywłaszczenia sumę pieniędzy 305.000 złotych (...) Z uwagi na powiązanie Milicji z osobami, które czasu krytycznego napadli na mnie i pobili mnie, więc odpowiedzialności za tego rodzaju czynny nie ponieśli (...)

Sąd Rejonowy w Łomży odciga rozpoznanie sprawy do chwili obecnej, czyniąc z tej sprawy spustoszenie, dąży do przedawnienia i usprawiedliwienia napastników. (...) W odwet za to funk. MO w Kolnie i Turośli są ustawieni do mnie tak nienawistnie, wrogo i złościwie, że w dniu (...) zamkli mnie niewinnie i bezpodstawnie (...)

Piotka Jan syn Bronisława, Zaczarnie”

„Do Polskiego Radio i Telewizji

Uprzejmie proszę o wyznaczenie mi terminu na osobiste zgłoszenie się i wysłuchanie mnie o niebezpiecznym postępowaniu do nas milicji z Kolna i Kolegium. Chcę referować sprawy nadużywania stanowisk odpowiedzialnych czynników Kolegium ds Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Kolnie, które to osobistości nie mają co robić i li tylko prowadzą na nas i nasze dzieciaki nieodpowiedzialne ataki, wymierzone przeciwko zdrowiu i życiu naszemu. W tym też celu milicjanci mocno nas pobili do licznych obrażeń ciała na co posiadamy zaświadczenia lekarskie (...) Czasu i miejsca mają Janusz Kobylński był trzeźwym i żadnego alkoholu nie używał. Wbrew temu milicjanci jeden drugiego przesłuchują i oczerniają jakobym Janusz Kobylński prowadził traktor pod wpływem alkoholu co nieodpowiada prawdzie w ogóle (...) Chcemy wykazać, że to nastawienie milicji trwa szereg lat i jest zwykłym uderzeniem i złośliwością w stosunku do nas bezbronných rolników, których szantazują i atakują milicjanci w Kolnie! (...)

BARBARA KOBYLŃSKA JANUSZ KOBYLŃSKI (WK) cdn.



- NIESTETY MAŁE WŁASNE ŻEGNA SIĘ Z SOCYALIZMEM

Rut, Piotr Kokiet



Mówi się, mówi?

U nas człowieka wpędzą się najpierw w roznój nerwowy, a potem do grobu. Czasem u- da się wyemigrować (Karpł- ski, Kudelski) a czasem nie.

Ostatnim przebiegiem na rynku telekomunikacji są urządzenia do wyszukiwania informacji w formie zapisu, fotografii lub całych stron gazet gotowych do druku. Telefony to takie coś, co po kablu telefonicznym może przekazać drukowany tekst. W naszych warunkach jest to

będzie odpowiedź:

— Wyłącz się larwo, mówi się.

Aktualna będzie:

— Zamknij się pindo, czyta się, czyta się!

Pomysł sprzedawania naukowych odkryć był oczywiście aktem rozpacz i chęcią uzyskania za wszelką cenę kilku dolarów. Nikt jakoś nie mógł zrozumieć, że lepiej za- trzymać ich w kraju, dać wal- lizkę pieniędzy i obiecać dru- gą, jeśli zostanie wymyślone coś, na czym da się zarobić.

Przed laty, gdy nastąpiła mo- da na tankowce, a paliwo sta- ło się produktem strategicz- nym, ktoś wpadł na sensowny pomysł, że butry tankowców można pokryć specjalną po- włoką o niskim współczynni- ku tarcia, co dałoby imie oszczędności, bo paliwo musie- liśmy kupować w obcych por- tach za walutę. Okazało się, że Japończycy już coś takie-

go wynaleźli, a jest to farba przypominająca po wyschnię- ciu skórę delfina, a więc bar- dzo gładka i odporna na wodę morską. Patent był jednak nie na naszą kieszeń. Tymczasem odkryto, że w naszym rodzimym urzę- dzie patentowym od kilkun- stu lat gnije wynalazek pew- nego inżyniera kropka w krop- kę przypominający ową „de- lfinową” farbę. Niestety, do o- głoszenia patentu nie doszło, bo badania były zbyt koszo- wne. Zaczęto szukać tego genialnego inżyniera chemika i odnalezione. W Ośce, w firmie chemicznej Był szefem jednego z programów bada- wczych. Na tym i innych paten- tach dorobił się fortunę.

Jest to przykład wyższości Świąt Bożego Narodzenia nad Świętami Wielkojnocy, oraz „Kapitał” nad kapitałem.

NICZYPOROWICZ